

Marek 'Squonk' Rauchfleisch **„MOJE miasto”**

Tylko ja i miasto. Wychowałem się w nim, dorosłem, a teraz zostałem tutaj sam. Pamiętam komunikaty władz o rozpoczęciu ewakuacji, krzątanie rodziców podczas pakowania najpotrzebniejszych rzeczy, esemesy nadsyłane przez jeszcze działającą sieć od znajomych: „Co teraz będzie, co mamy robić, znasz się na tym, nadszedł czas byś wykorzystał swoją wiedzę i nam pomógł”. A ja szczerze mówiąc miałem to gdzieś. Kiedy świat jaki wszyscy znali zaczynał się walić, to nagle przypominano sobie o moim istnieniu. Działanie w czasopiśmie internetowym zajmującym się szeroką tematyką wizji zagłady świata, znajomość z paroma ekipami, które zgłębiały podobną tematykę, ale na bardziej rozrywkowej niwie - sprawiła, że wśród ludzi, którzy znali mnie powierzchownie urastałem do rangi wielkiego autorytetu. Inna sprawa, że postanowiłem „spieniężyć” swoje zainteresowania i na ochotnika zgłosiłem się do pobliskiego oddziału Obrony Cywilnej uznając, że będzie to niezła furtka złapania dobrej roboty w wojsku lub innych służbach. Ci postawili raczej na moją wiedzę nabytą podczas studiów, choć fakt z - racji ogólnej sytuacji w kraju brali wszystkich. I tak zostałem specjalistą od instalacji w osiedlowym schronie, w którym postanowiłem się ukryć, kiedy cały świat miał się zawalić.

Ewakuacja? Dokąd? Miałem opuścić miasto w które wrosłem, które karmiło mnie swoim brudem oraz pięknem, które było dla mnie wszystkim? Gdy człowiek przekracza w swoim życiu pewien wiek okazuje się, że to co tworzy jego życie to nawiązane kontakty i znajomości z ludźmi. Szkoła, praca, rodzina. Tymczasem żadna z tych rzeczy nie zapisała się jakoś mocniej w moim życiu. Ludzi z podstawówki nie chciałem w ogóle znać, pamiętając jak bardzo się cieszyłem, że ją kończę. Szkoła średnia była jak kierat: 8 godzin i domu, żadnych sentymentów. Studia podobnie, zaś do rodziców owszem – byłem mocno przywiązany. Ale to miasto treścią mojego całego życia, a nie bliscy mi ludzie, których tak naprawdę nie miałem. To wszystko zastępowały mi drzewa, ulice, budynki, ptaki i czy inne miejskie zwierzęta. Mijani ludzie byli tylko teksturą, zaś ruchomymi i żywymi obiektami, właśnie to co dla wielu pozostaje tylko tłem.

W rozgardiaszu spowodowanym ewakuacją wymknąłem się z domu i niezauważony przez nikogo i zamknąłem się w schronie Obrony Cywilnej, który w ramach swoich obowiązków doglądałem. Umieszczony 20 metrów pod ziemią, przystosowany do komfortowego przebywania w nim stu osób. Tymczasowy mój dom. Gdy tylko znalazłem się w środku, rozłączyłem wszystkie zewnętrzne linie komunikacyjne oraz uruchomiłem podstawowy system zasilania oparty na energii geotermalnej, zaś cały system instalacji schronowych ustawiłem w stan zamknięcia i zewnętrznej izolacji. Gdyby tam, na zewnątrz wszystko wróciło do normy, to miałem wymówkę o konieczności wykonania tu pilnej pracy. A zresztą... Udałem się do swojego „pokoiku”, który od jakiegoś już czasu tu sobie urządziłem i najnormalniej w świecie zasnąłem.

Nie było żadnego nagłego przebudzenia, a ja wstałem lekko zdrętwiały po chyba dość długim śnie. Wokół mnie była cisza jakiej dawno, hmm... nie słyszałem?! Nareszcie sam, idealnie wypięty na cały świat, po tym gdy ten wypiął się na mnie. Rodzice? Poradzą sobie na pewno.

W filmach czy innych bajkach, schrony są wyposażone w techniczne cuda-niwidy. Szafki są pełne wyposażenia – wystarczy się odpowiednio ubrać i można ruszać na podbój Pustkowi! Taaak tylko, że to była instalacja cywilna a nie wojskowa, a ja szczerze mówiąc po doświadczeniach z ekipami na żywo bawiącymi się w kwestie zagłady, serdecznie miałem dość „wojowników bezdroży” i innych tego typu bzdur. Idąc wąskim jak na statku korytarzem, dotarłem do pokoju sterującego schronem by sprawdzić wszystkie instalacje, oraz zobaczyć (za pomocą dostępnego systemu monitorującego) co stało się ze światem zewnętrznym.

Stety lub niestety ale on nadal istniał. Zero promieniowania radioaktywnego, temperatura plus 14 stopni Celsjusza, wilgotność około 40%. Obraz z jedynej dostępnej kamery umieszczonej na dachu budynku w pod jakim zamaskowano schron (osiedlowe przedszkole) pokazywał puste ulice. Żadnych ludzi, żadnego ruchu, codziennej krzątaniny, lub odwrotnie - przejawów paniki czy strachu. Mogłem więc wyjść na zewnątrz, wyposażony narzędziownik jaki zawsze nosiłem podczas wykonywania swoich codziennych obowiązków, plecak oraz klucze do domu. Na chwilę naszła mnie myśl, aby przygotować się na możliwość potencjalnego zagrożenia jakie może mnie spotkać poza schronem. Przez głowę przeleciały obrazy zmutowanych monstrów, radioaktywnych bestii, bandytów – cała śmietanka świata po zagładzie. Co ma być to będzie, a ja jestem przecież na swoim terenie, nie będę więc obwieszany jakimś gównem, którego w razie potencjalnego zagrożenia i tak nie będę potrafił wykorzystać. To nie amerykański film.

Na zewnątrz panowała cisza, ale taka specyficzna, bo pozbawiona – jak mi się od razu na szybko skojarzyło – czynnika ludzkiego. Wróble kitraszące się w krzakach, kawki żerujące na trawniku, kot czający się w cieniu bloków i budynków. Norma dla takich miejsc. Brak było tylko dźwięków wydawanych przy codziennych, ludzkich czynnościach. Wrzasku dzieci w przedszkolu, brumu przejeżdżających samochodów, hałasu przetaczającego się w oddali pociągu. Żadnych ludzi zresztą też w pobliżu nie widziałem, za to tu i tam stojące samochody z otwartym na oścież drzwiami. Oj! Czyżby było aż tak „gorąco”?

Pierwszą osobą, którą napotkałem w drodze do domu był dawny kolega z technikum. Przystanąłem bo wyglądało to dość zdumiewająco. Duży plac przed „salą zebrań ludowych” czyli kościołem, zaś przed wysokim budynkiem plebani (złośliwi mówili, że wyższym niż sam kościół) samochody tutejszych księży – stojące również z otwartymi szeroko drzwiami. Po tej „scenografii” poruszał się właśnie ów kolega, wnosząc ręce do góry i zawodząc:

- To nie było zgodne z prawem bożym! Do tego nie mogło dojść! Panie czemuś mnie opuścił?! - i tak na okrągło.

Czyżby księżula zostawili go tu samego, pomyślałem. W końcu to był ich oddany, cywilny katecheta, z równie wielkim zapałem uczący na kursach przedmałżeńskich, że od używania prezerwatyw wewnątrz buzi rosna włosy - jak w okresie szkoły średniej wypożyczający siatkami filmy z różnymi rodzajami porno. Ciekawe czy szukał w nich zgodności z „prawem bożym” czy najnormalniej w świecie się masturbował. Dopiero pójście na studia na Chrześcijański Uniwersytet Jagielloński go odmieniło. Nigdy nie spytałem się go o meandry jego doświadczeń z paniami z filmów czy też o powody przewartościowania światopoglądu. Tym bardziej nie miałem zamiaru teraz. Zostawiłem za sobą jego skomłące zawodzenia i poszedłem dalej.

Budynek szkoły wyglądał jakby przeszło przez niego tornado. Nie takie w stylu bandy gimnazjalistów, którzy zakładają kosze od śmieci na głowy swoich nauczycieli, lub kopulują ze sobą na stole w środku klasy. Te tornado miało charakter typowo wojskowy. Porozrzucane zielone skrzynki, pojemniki, stojące na parkingu przed szkołą dwie zielone ciężarówki. Choć wokół szkoły zawsze rosło pełno drzew, krzaków i innej miło wyglądającej roślinności, to zawsze budynek ten kojarzył mi się „niezmierzoną głębią wychodząca z trzewi grozy”, że użyję takiej grafomańskiej stylizacji a'la wielki H.P. Lovecraft.

Uff!! Nie mam świra, jestem chyba nadal jeszcze normalny, skoro czuję jakieś emocje. Nawet jeśli jest to ta głęboko tkwiąca obawa przed grozą szkoły. Podeszedłem do wojskowych ciężarówek.

O kurwa! Blee...

W otwartych drzwiach szoferki zobaczyłem oparte na kierownicy zwłoki w mundurze, z rozszarpanymi nogami i wnętrznościami porozrzucanymi w środku. Ale przyczyna śmierci tego delikwenta musiała być chyba inna, na co wskazała zwisająca dłoń, kurczowo trzymająca pistolet.

Śmierć w wersji 9 mm prosto do głowy – no tak czasem bywa. Ale co lub kto zajął się resztą? Może schowało się w zakamarkach szkoły, może wieczorem znów wyjdzie na polowanie, może zaczyna się wielka przygoda? A może po prostu chce mi się s... No iść na kibelek, bo zawsze najlepiej robiło mi się u siebie.

Odwrociłem się plecami do tego ponurego i pełnego niemiłych wspomnień przybytku, w którym nauczyciele gorsi od sadystów urabiali ludzi w bezrozumne kukły. Ale wtedy kiedy ja tam chodziłem, bo teraz koło się odwróciło i to uczniowie „wychowują” swoich nauczycieli. Przynajmniej do wczoraj, bo dziś ponury gmach szkoły stał pusty.

Dalsza droga do domu obyła się bez większych przygód, na „standardowym”, że tak powiem poziomie, do jakiego od wyjścia ze schronu zdążyłem się przyzwyczać. Czyli pootwierane samochody stojące tu i tam na ulicach, puste okna budynków i jak nigdy nic miejskie zwierzaki korzystające z pełni dnia. No może poza tym, że w mijanych obejściach nie widziałem psów. W domu powitała mnie cisza oraz zapach lekko zatęchłego powietrza. Uchyliłem okna, prądu by zapalić światło nie było (podobnie jak i gazu), zaś z kranu leniwie sączyła się woda. W sam raz by wziąć książkę, usiąść na kłocie i oddać się intelektualnym rozkoszom, a po wszystkim się umyć.

Po „odrobinie przyjemności dla siebie”, zrobiłem parę kanapek, spakowałem co nieco rzeczy, które na pewno mi się przydadzą. Sprawdziłem wszystkie zawory, kurki oraz wyłączyłem bezpieczniki prądu (czego nie zrobili rodzice) i z powrotem udałem się do schronu, bo co będę tu tak sam siedział. Tym razem nie miałem żadnych „przygód”, choć prewencyjnie sprawdziłem, czy w pobliżu przedszkola nikt się nie kręci. Powoli w mojej głowie zaczęła narastać myśl, że moje nowe lokum ma być tylko i wyłącznie dla mnie. Nie chcę się z nim dzielić z nikim. A co gdyby tak całe miasto miałoby się stać również MOJE? Podniecenie tą myślą, zaczęło powoli zmieniać się w determinację by utrzymać MÓJ stan rzeczy i świata. Czyli chyba nie obejdzie się bez zabawy w „wojownika pustkowi”. Ale wszystko, byle tylko było w końcu jak JA chcę!!!!

Kolejne dni upływały na wykonywaniu wielotorowej pracy. Do schronu znosiłem zapasy żywności, jakie wydobywałem z opuszczonych sklepów, a te w których zostawało jeszcze coś do wykorzystania zabezpieczałem prostymi sposobami, aby nikt się tam nie dostał. Jak? Łańcuchy, kłódki, deski z wbitymi gwoździami. Że co? Że to nic nie da? A owszem, to nic nie da dla kogoś kto ma dostęp do broni czy jakichś narzędzi. Ale powiedzcie mi czy ludzie uciekający przed niebezpieczeństwem będą mieć przy sobie takie coś? Wojsko, policja czy inne jednostki zmilitaryzowane owszem, ale to nie ich uważałem za zagrożenie w MOIM mieście. Gdyby ktoś z nich tu się pojawił, to miałem przygotowaną opcję aby do nich dołączyć, przedstawiając się jako osoba wytrwale stojąca na posterunku. Największym zagrożeniem byli dla mnie dawni mieszkańcy, teraz już MOJEGO miasta. Nie ma! Takiego wała!

Przez tydzień udało mi się „zabezpieczyć” wszystkie pobliskie sklepy i markety spożywcze oraz publiczne ujęcia wody. Zaś po żmudnych wysiłkach (pancerne drzwi oraz dobry zamek) dostałem się w końcu do magazynu broni w komendzie policji. Dwie strzelby Mosberg, trzy pistolety maszynowe PM-98 oraz 5 pistoletów P-99, do tego kilkanaście pudełek różnej amunicji oraz parę sztuk kamizelek kuloodpornych. Fajne zabawki, o których nie miałem żadnego pojęcia jak je używać. Ale lepiej, bym to ja miał nad tym kontrolę, a nie ktoś równie mądry na to, by się tu dostać. Zapakowałem wszystko na odpowiedni wózek, który szukałem przez cały dzień i do schronu. Następne dni, z gaciami pełnymi strachu, poświęciłem na „suche” zaznajomienie się bronią, bo ASG to zupełnie inna bajka. Wszedłem na dach przedszkola i tam z trzęsącymi się łapkami poznawałem moje nowe zabawki. Wojsko czy policję znałem z filmów, a tam broń zawsze jakoś sama strzelała – tu wszystko było ciężkie, zimne i takie ostateczne. Znaczący w tym sensie, że jakiś zły krok, ruch i broń z zabawki staje się narzędziem do zabijania. Strzelbę od razu sobie odpuściłem, za to obsługa pistoletów nie była taka trudna. Suche opanowanie musiało mi

wystarczy, bo strzelać nawet w tak cichym i pustym MOIM mieście nie miałem zamiaru. Strzał niesie się daleko, i nie wiadomo kto go jeszcze usłyszy.

I tak chcąc, nie chcąc zostałem „wojownikiem pustkowi”, patrolującym codziennie znajome mi tereny. Wyposażony w prawdziwą broń oraz niezbędny ekwipunek chodziłem po ulicach, wśród budynków, roślinności, które tak były mi bliskie. Czasem w ramach rozrywki wchodziłem do opuszczonych mieszkań i domów. Szukałem tam rzeczy, które mogły by mi się przydać lub takich które pozwoliłyby mi „pożyć” sobie życiem dawnych lokatorów. Albumy z rodzinnymi zdjęciami, filmy, pamiętniki, to wszystko zabierałem ze sobą do schronu, by urządzić „rodzinny wieczorek”. Dzięki temu np. poznałem kilka fajnych dziewczyn, o których wiedziałem wszystko. Którą wybrać na tą jedyną? Z którą umówić się na randkę do kawiarni? Co prawda kawiarnię też zabiłem dechami, ale zawsze można to było zmienić. Oczywiście nie na żywo! A idźcie mi z tym! Wystarczy zdjęcie, nawet przerwana połowa, bez tego czy innego bubka, który stał tuż obok.

Któregoś słonecznego dnia, podczas rutynowego, ale jak zawsze pełnego przygód patrolu, normalne życie znów wtargnęło do mojego świata i MOJEGO miasta. Byłem w pobliżu spożywczaka na osiedlu domów jednorodzinnych, którego porządnie zabezpieczyłem przed niepożądanymi osobnikami. A tu tacy się pojawili!

Kilka osób, obdarci mężczyźni, brudne kobiety oraz gromadka jak zawsze ruchliwych dzieci – wszystko obserwowałem zza rogu pobliskiego budynku. Faceci mocowali się z moimi przeszkodami, ale bez narzędzi czy nawet rękawic ich praca nie miała większego powodzenia. Zastanawiałem się co zrobić, gdy rozwiązanie przyszło samo. Stado pięciu dużych, kudłatych psów powoli podchodziło do grupki ludzi. Choć w sumie ciężko było by te zwierzęta uznać za psy. Cokolwiek to było, niespiesznie i bez strachu zbliżało się do ludzi. Moje dylematy co zrobić w tej sytuacji przerwało ciche, chrapliwe warczenie. Odwróciłem się, i zobaczyłem dwie psiopodobne istoty. Pusty, wpatrujący się we mnie wzrok, ciało przygotowane do skoku.

Odciągnąć bezpiecznik, przesunąć lekko pistolet na pasku, pierwszy pocisk był już w komorze, pociągnąć za spust. Wszystko odbyło się mechanicznie i jakby poza moją świadomością. Trzy pociskowa seria przeszła po grzbiecie pierwszego monstrem. To mnie otrzeźwiło i dwie kolejne serie lepiej trafiły do celów. Wiedziałem już co mam zrobić. Wyrzałem zza rogu. Ludzie oraz piątka bestii patrzyła się moim kierunku. Rozłożyłem kolbę i przystawiłem pistolet do wycelowania.

To ja jestem jedynym drapieżnikiem w MOIM mieście i nikt więcej nie ma prawa!!!!

Szczerbinę zgrałem z muszką na najbardziej wysuniętym w stronę ludzi zwierzęciu. Adrenalina usztywniła mi mięśnie i wyostrzyła wzrok. Strzał, drugi, dla pewności trzeci – i grupa nie ma już swojego przywódcy. Nie ma przywódcy, nie ma też grupy, która zerwała się do ucieczki.

Jedna z kobiet wyszła w moją stronę i podniosła rękę, ale szybko schowałem się za węglem i zacząłem uciekać. Do schronu, do mojego świata, by przeczekać. Niech wszystko się unormuje, niech znów będzie jak dawniej. Niech miasto z powrotem będzie MOJE...